Kraków, 1-go Sierpnia 1908 r.

Rok 4. Nr. 16

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 31 „Prawdy.“

Żywoty Świętych chłopców.

Święty Justyn.

(Dokończenie).

Zaledwie bowiem grono uszczęśliwionych opuścił, powziął zaraz myśl doniesienia na drugi dzień staroście, że w domu Lupusa nocuje chrześcianin z synkiem przecudnych przymiotów, którego niepojęte i nadzwyczajne mowy każdy podziiwał.

Mateusz z synami swymi spał smacznie i mocno, znużony daleką podróżą i upojony tak wielkiem szczęściem, gdy tymczasem Lupus oka zamknąć nie mógł z obawy o gości swych. Pobiegł zatem bardzo rychło do Mateusza, obudził go i rzekł:

— Wstań czemprędzej, weź synów i uchodź z miasta tego, bo przyszedł do niego najzaciętszy wasz nieprzyjaciel, starosta Ryktijawar. Gdyby się miał dowiedzieć, że jesteście wyznawcami Chrystusa, nie bylibyście pewni życia swego.

Obudził Mateusz natychmiast obydwóch synów, dziękował jeszcze raz wśród radości gospodarzowi za wydanie Justyniana i za uprzejmą gościnność, a potem biegł za miasto, o ile mu sił starczyło.

Przeczucie i obawa Lupusa spełniły się. Starosta dowiedział się o wszystkiem, co w domu Lupusa zaszło, a pragnący jak tygrys krwi chrześciańskiej, wysłał powierni-

ków swoich, aby chrześcian niespodzianie napadli, pojmali przed niego stawili.

Słudzy razem z dniem stanęli w domu Lupusa i żądali wydania im chrześcian. Lupus odpowiedział z największą spokojnością, że goście jego już dawno w dalszą podróż się puścili.

Kiedy z taką odpowiedzią wracają słudzy, wściekłość opanowała starostę, że mu aż trzy ofiary z ręki uszły. Najsurowsze daje rozkazy jeźdźcom, aby Mateusza z synami dogonili i pojmali, a gdyby się wzbraniać mieli, na miejscu porąbali.

Czterech uzbrojonych jeźdźców puściło się w pogoń za Mateuszem i jego synami; ale ci już tak daleko uszli, że żołnierze wszelką nadzieję dogonienia ich stracili. Wszędzie się pytali, wszędzie najmniejszy kącik lub zarośle starannie przeglądali, ale wszystko okazało się daremnem, nigdzie nie mogli ich wytropić.

Znużeni, zgodniali i z sił zupełnie opadli, zatrzymali się nakoniec bogobojni nasi podróżni pod borem blizko Paryża. Mateusz i Justynian chcieli tu cokolwiek sobie odpocząć i zasilić się: bo głód i pragnienie okropnie im dokuczały, a od ciągłego i szybkiego pochodu nóg swoich już nie czuli. Mały Justyn odezwał się do nich:

„Jeżeli się zasilić i odpocząć sobie chcecie, udajcie się w głąb lasu, tam znajdziecie jaskinię wygodną i ukrytą; tu zaś nie jesteście bezpieczni, gdyż nieprzyjaciele nasi tuż za nami gonią. Ja tymczasem zostanę na straży, aby was w razie niebezpieczeństwa przestrzedz.

Miejsce, które Justyn ojcu i bratu starszemu wskazał miało stę nazywać Lupera, jak niektórzy pisarze żywotów świętych twierdzą, i ma to być to samo miejsce, na którem 1214. r. wspaniały stanął pałac nakszałt twierdzy w czworoboku wystawiony, a dziś do miasta Paryża pod nazwą Luwr należy. Nie byłoby w tem nic niepodobnego, jeżeli zważymy że dziś obwód Paryża przeszło trzy mile wynosi.

Mateusz, który nieraz już doznał, jak zbawienne są rady młodego Justyna, szybkim krokiem zdążał z Justynianem do miejsca sobie wskazanego.

Zaledwie się schronić zdążyli, ujrzał Justyn w pewnej odległości czterech jeźdzców uzbrojonych, którzy w tę właśnie stronę zmierzali. Dosyć jeszcze miał czasu do ukrycia się, lecz postanowił raczej naprzeciwko nim wyjść aby tym sposobem życie ojca i brata mógł ocalić.

Skoro chłopczyka żołnierze spostrzegli, spięli konie ostrogami i w mgnieniu oka obstąpili małego Justyna. Jeden z nich zeszedł z konia, schwycił chłopca za rękę i zapytał się:

— Jak się nazywasz?

— Imię mi Justyn.

— Do jakich bogów się modlisz?

— Do jednego tylko, bo jestem chrześcianinem.

— A gdzie są dwaj towarzysze twoi?

— Jesteście nieprzyjaciołmi chrześcian i prześladujecie ich okrutnie, nie godzi im się przeto odpowiedzieć wam na ostatnie zapytanie.

— Trupem na miejscu padniesz, chłopcze — zawrzasnęli wszyscy razem — jeżeli nam natychmiast miejsca ich pobytu nie wskażesz.

— Ewangelia zapewnia nam życie wieczne, jeżeli z miłości ku Chrystusowi doczesne utracimy. Chętnie przeto z rąk waszych umrę, jeżeli taka wola Ojca mego w niebiesiech. Gdzie zaś moi towarzysze obecnie się znajdują, tego wam nie powiem.

Co tylko Justyn ostatnie wymówił słowa, aż tu jeden z żołnierzy dobył miecza i głowę za jednem cięciem od reszty ciała oddzielił.

Dziecko święte pada na ziemię, dusza jego ulatuje do nieba, żołnierzy zaś zdejmuje strach niewypowiedziany, wyrzuty sumienia powstały w nich tak gwałtowne, że od dalszego poszukiwania Mateusza i Justyniana odstąpili.

Mateusz z Justynianem nie wiedzieli o tem, co się w tak krótkim czasie stało. Okropne przeczucie ogarnęło ich serca, gdy z kryjówki swej wyszli i Justyna na da-

wnem miejscu nie ujrzeli. Po długiem szukaniu znaleźli go nakoniec, ale — bez duszy. Kto opisze ich smutek? kto boleść ich serca?

Stroskany ojciec podnosi głowę najdroższego dziecka swego, oblewa ją łzami i całuje; potem obmywa z krwi, owija w chustkę, by ją matce pokozać. Resztę zwłok pochowali w jaskini, w której ich Św. Justyn przed mordercami ukrył, a gdzie dziś wspaniały zamek królewski się wznosi.

Podróżni nasi puścili się po skończonym żałobnym obrzędzie dalej ku domowi, a gdy stanęli przed domem swoim, wybiegła uradowana żona Mateusza, by Justyniana jak najprędzej do łona swego przycisnąc. Ale jakżeż struchlała, gdy Mateusz zawiniątko otworzył i głowę najdroższego synka jej ukazał, i gdy blask światłości niebieskiej napełnił dom cały.

Dano o tem znać biskupowi z Okser, który natychmiast w dom Mateusza z kapłanami swymi przybywa, aby głowę świętego dziecka odebrać i przyzwoicie pochowac.

Opatrzność przyprowadza w tejże chwili dziewczynkę, która zupełnie zaniewidziała. Słysząc o całem zdarzeniu, wzywa z niezachwianą wiarą przyczyny Świętego i odzyskuje cudownym sposobem wzrok zupełny w tej samej chwili, kiedy jej głowę do pocałowania podano.

W każdym wieku, w każdym stanie
Powinnością jest pracować:
Dawno uznał świat to zdanie,
Że grzech wielki jest próżnować.

Kto do pracy już za młodu
Ochoczo się garnie,
Ten na starość nie zna głodu
I nie zginie marnie!

Kto w próżniactwie czas przepędza,
Komu każda praca twardą,
Tego z czasem czeka nędza
A ludzie okryją wzgardą.

Pierwsze balony.

Około 150 lat temu, w miasteczku Annone, we Francyi żyli dwaj bracia Mągolfierowie, synowie fabrykanta papieru. Byli to ludzie rozumni i wykształceni, a ciekawi do wszystkiego, lubiący przyglądać się bacznie temu, co się dokoła nich dzieje. Widzieli oni nieraz, jak dym z kominów ulatuje do góry, jak w czasie pożaru powietrze ogrzane unosi wysoko w górę nietylko dym i iskry, ale nawet duże głownie i strzechy domów.

Miliony ludzi przez lat tysiące patrzyło przed nimi na to pospolite zjawisko, a nikomu nie przyszło do głowy zapytać się, dlaczego tak jest, nikt nie domyślił się, że przyczyną tego jest lekkość ogrzanego powietrza. Powietrze ogrzane staje się rzadszem, a zatem lżejszem od zwykłego powietrza, otaczającego ziemię, — unosi się więc ono do góry. Tak samo korek, puszczony przez nas na samem dnie słoja, napełnionego wodą, uniesie się w górę aż do powierzchni wody, gdyż jest on lżejszy od wody. Bańki, jakie dzieci wydymają sobie słomką z wody, rozrobionej mydłem, unoszą się w górę, są one bowiem napełnione powietrzem, wychodzącem z naszych ust, z naszego ciała — a więc powietrzem ciepłem, lżejszem od zwyczajnego powietrza. — Tak rozważając sobie to wszystko, dowcipni Mągolfierowie wpadli na następujący pomysł: skleili z cienkiego papieru niewielką banię, z otworem u spodu; ostrożnie trzymając świecę pod otworem, ogrzali znajdujące się w bani powietrze, a gdy wydęła się dostatecznie, puścili ją: bania uniosła się szybko w górę aż do samego sufitu. Po niejakim czasie, gdy powietrze w bani się oziębiło, spadła napowrót na ziemię. Pomysłowi bracia powtarzali swoją próbę wielokrotnie, robiąc banie coraz większe — i zawsze było to samo: lekka bania, wypełniona ogrzanem powietrzem, unosiła się w górę. W taki sposób został dokonany jeden z najświetniejszych wynalazków — zostały wynalezione balony.

Po licznych próbach, Mągolfierowie postanowili wystąpić ze swym wynalazkiem publicznie. Z papieru poklejo-

nego płótnem, zrobili banię wielką, mającą 20 łokci wysokości, a około 500 funtów wagi. Pod otworem bani przymocowali lekki koszyk druciany, napełniony wilgotną słomą. Próba odbywała się na jednym z placów miejskich, wobec tłumu ludzi. Zapalono słomę w koszyku; balon zaczął się powoli wydymać, rwał się w górę tak, że ośmiu ludzi ledwie mogło go utrzymać sznurami na miejscu. Nareszcie na dany znak puszczono sznury i wśród radosnych okrzyków ogromna bania uniosła się w powietrze... Początkowo bania ta, czyli balon, unosiła się bardzo szybko, potem zaczęła zwalniać biegu, aż na wysokości przeszło 1000 mil zatrzymała się, przez 10 minut bujała się w powietrzu i, uniesiona przez lekki wiatr, spadła poza miastem. Było to 5-go czerwca 1783 roku, a więc lat temu 125.

Wiadomość o wynalazku Mągolfierów rozniosła się lotem błyskawicy po całej Francyi, a doszedłszy do Paryża, wzbudziła niesłychany zapał: wszyscy pragnęli oglądać coprędzej to niesłychane a cudowne widowisko. Trzeba zdarzenia, że jednocześnie z Mągolfierami niejaki Szarl, profesor fizyki w Paryżu, wpadł na myśl robienia balonów, wypełnionych nie powietrzem ogrzanem, lecz innym gazem — wodorem. Gaz ten, zaledwie od niedawna wówczas poznany, odznacza się nadzwyczajną lekkością, jest bowiem 14 razy lżejszy od powietrza.

Dowiedziawszy się o balonach Mągolfierów, Paryżanie, — jak zwykle, gorący naród, — zebrali natychmiast 10 tysięcy franków składki, a Szarl podjął się zbudować za te pieniądze balon. Była to wielka bania kulista z materyi jedwabnej, powleczonej gumowym lakierem, który czynił ją nieprzenikliwą dla gazu. Gaz ten (wodór) wyrabiał się w beczkach, skąd rurą doprowadzono go do balonu. Po napełnieniu gazem, puszczono liny i balon poszybował w górę, żegnany oklaskami i okrzykami tysięcy ludzi. W ciągu dwóch minut wzniósł się on do wysokości wiorsty w górę, poczem zniknął za chmurami, a w trzy kwadranse później spadł w pewnej wiosce o pięć wiorst od Paryża.

Wystawcie sobie podziw i przerażenie mieszkańców tej wsi, którzy nigdy nie słyszeli o balonach, gdy nagle ujrzeli

na niebie unoszącą się olbrzymią banię! Jedni brali ją za wielkiego ptaka; inni myśleli, że to jest księżyc, spadający na ziemię; najtchórzliwsi sądzili, że to może sam antychryst... Bania tymczasem opadała coraz niżej, aż w szalonych podskokach uderzyła o powierzchnię i, szarpiąc się za każdym powiewem wiatru, zatrzymała się na poblizkiej łące. I stała się rzecz śmieszna. Gromada ludzi, uzbrojona widłami, siekierami i kijami, wyległa na łąkę, a zatrzymawszy się w największej trwodze opodal, godzinę całą stała, przyglądając się podskokom nieznanej poczwary... Nareszcie znalazł się jeden odważny ze strzelbą, który podszedł bliżej i wypalił w sam brzuch mniemanego antychrysta! Wtedy, sądząc, że potwór już zabity, cały tłum rzucił się z widłami i siekierami, pukłuł, porąbał nieszczęsny balon, a uczepiwszy szczątki jego do ogona koniowi, włóczył go przez godzinę jeszcze przez pola i krzaki. Gdy w parę godzin potem nadjechał z Paryża Szarl, znalazł ledwie trochę poszarpanych strzępów ze swego pięknego, ukochanego balonu. Działo się to wszystko dnia 27 sierpnia, roku 1783-go.

Piosenka żniwna.

Gospodarzu nasz,
Piękne żyto masz,
Pracowałeś w czoła pocie,
Nie leniłeś się w robocie
Gospodarzu nasz!
Gospodarzu nasz,
I pszeniczkę masz,
Zaorałeś, zbronowałeś,
Czyste ziarno wczas zasiałeś,
Gospodarzu nasz!
Gospodarzu nasz,
Piękny jęczmień masz,
Jego bujne, pełne kłosy
Dopraszają się już kosy,
Gospodarzu nasz!

Gospodarzu nasz,
I tatarkę masz,
Pięknie kwitła twa tatarka,
Będzie kaszy duża miarka,
Gospodarzu nasz!

Kto mocniejszy?

Pewnego razu posprzeczał się wiatr ze słońcem, które z nich posiada więcej siły.

— Sprobujmy naszej siły — mówił wiatr — oto idzie drogą wędrowiec okryty płaszczem, na nim wyprobujemy, kto z nas mocniejszy. Chodzi o to, aby zdjąć mu płaszcz z ramion,

— Dobrze — mówi słońce — sprobuj ty pierwszy.

Hej, jak nie zacznie wiatr szarpać płaszczem! Dął z całej siły, to z tej to z owej strony — lecz im więcej się silił, tem bardziej wędrowiec w płaszcz się owijał, aż spostrzegł wiatr, że nic nie poradzi i ucichł.

— Teraz na mnie kolej — rzekło słońce i zaraz poczęło mile zaglądać w oczy wędrowcowi i głaskać go i pieścić.

— Ach jak mile słonko grzeje — zawołał wędrowiec i zdjął płaszcz z ramion, bo chciał aby go promienie słońca całkiem przeniknęły, tak mu ich dotknięcie było przyjemne.

Z tej przypowiastki taka jest nauka, że uprzejmością i grzecznością więcej można zrobić, niż szorstką surowością.

ZAGADKA.

Jestem dniem tygodnia — którym? To zgadniecie;
Lecz gdy z mego wnętrza literkę weźmiecie,
Zamienię się natychmiast w płótno grube, zszyte,
W którym mąka, zboże bywają ukryte.